

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II.

WARSZAWA, DNIA 18 PAŹDZIERNIKA 1924.

Nr 58.

Głos z za grobu.

Grono Salomonów domowego chowu, jakich tak wiele mamy na eksport — tanio, byle prędko, zasiadających w „honorowym” sądzie dla generałów, po długich wysiłkach, naradach i postępowaniach złożyło nowy dowód bystrości umysłów i zrozumienia honoru, a zwłaszcza honoru polskiego munduru, orzeczeniem w sprawie gen. Szeptyckiego „oczyszczającym” go z brudów austriackiego generał-gubernatorowania Polsce pospołu z kolegą i przyjacielem generał-gubernatorem niemieckim v. Beselerem.

Jacy sędziowie — taki i wyrok, takie i „oczyszczenie”.

Rzućmy przez chwilę okiem na tradycję generalskiego sądu *quasi* honorowego. Poznajmy bliżej tego strażnika wojskowego honoru, który zamyka i łączy tyle uczuć wielkich i szlachetnych i pięknych, jeśli ktoś umie wsłuchać się w echa rozbrzmiewających o nim tradycji, jeśli ktoś zrozumiał treść śmierci Wołodyjowskiego wyczarowanej wizją Sienkiewicza, jeśli ktoś przechodząc przez plac Saski przeniknął raz chociaż w życiu spłaznowane serce oblubieńca Elstery, jeżeli ktoś nie jest nikczemnym „fachowym” najmitą, ale chowa w sercu jakiś ogień miłości, jakąś nieugaszoną namiętność do tej ziemi, historii, jej przyszłości — ogień miłości, który rozpała umysł i wznosi go ku ideałom, ku prawdzie, ku światłu.

Przyjrzyjmyż się więc strażnikowi najpiękniejszych rycerstwa tradycji i narodu najwyższego skarbu — strażnikowi ho-

noru polskiego munduru. I stłumy w sobie na chwilę krzyk przerażenia, że Pik, ten sam Pik, którego polski publicysta, po mieczu i kądzieli sarmata bez skazy grzechu narodowego oskarża przed sądem o goszczenie pod własnym dachem i przy własnym stole szpiegów i zdrajców Polski, ten Pik z rodu fabrykantów sztucznych piersi kobiecych i przedmiotów gumowych dyskretnego użytku, że taki właśnie Pik ma nas dzisiaj pouczać jakim jest i być powinno to uczucie, które kazało szukać śmierci Poniatowskiemu, a które sięga po za grób, gdyż cenniejsze jest od życia.

Strażnik honoru...!?

Przecież ten sam strażnik — sąd generalski „oczyścił” i zrehabilitował w 1921 r. szefa sztabu ministerstwa spraw wojskowych gen. Niesiołowskiego, orzekając, że „niema podstawy do postawienia go przed Sądem Honorowym”, podczas gdy uprzednio sąd obywatelski złożony z v. prezesa Sądu Apelacyjnego Dutkiewicza, gen. M. Kukiela, gen. Niżałowskiego, Bronisława Sobolewskiego i prezesa Najwyższej Izby Kontroli Państwa J. Żarnowskiego, powołany do rozpatrzenia zarzutów postawionych gen. Niesiołowskiemu przez posła A. Anusza — orzekł, że „przyjmował on bezpośredni udział w transakcji handlowej dokonanej w sposób dla interesu państwa szkodliwy”, „że dopuścił się zarzuconych mu czynów lekceważąc interes Państwa”. Czyż sąd obywatelski może jaśniej i dobitniej powiedzieć komuś, że jest złodziejem? A jednak generalski sąd honorowy nie znalazł podstawy do postawienia takiego osobnika przed sądem honorowy.

A dalej. Temu samemu Pikowi, który} dzisiaj „czyści” innych, Adam Niemojewski uczynił publicznie na łamach *Myśli Niepodległej* szereg najcięższych zarzutów. Sąd generalski nie wysłuchawszy oskarżyciela, nie zbadawszy treści zarzutów „oczyścił” Pika, a dzisiaj temu oczyszczeniowemu Niemojewski ofiarował gotowość przeprowadzenia dowodu prawdy swych oskarżeń i wkrótce przedstawi je sądowi, ale już nie generalskiemu, tylko rzetelnemu sądowi państwowemu. I czy aeropag Salomonów zegnanych przez burzę światową pod dach polski, zastanowił się co będzie jeśli Niemojewski dowód prawdy przeprowadzi i dowiedzie, że Pik protegował szpiegów obcych państw?

I dzisiaj ten sam strażnik honoru munduru „oczyszcza” bohatera Dźwiny z roku 1920 Szeptyckiego z błota okupacyjnego generał-gubernatorowania, oświadczeniem, że „nie ma on być pociągnięty do odpowiedzialności honorowej”, ponieważ „sąd honorowy dla generałów uznał za ustalone, że aresztowanie marszałka Piłsudskiego w 1917 r. przez władze okupacyjne niemieckie w Warszawie nastąpiło bez wiedzy ówczesnego gen.-gub. na okupacji austr.-węg. gen. Szeptyckiego”.

Sąd uznał..!?

Odsyłamy to uznanie do sprawy Niesiołowskiego i do sprawy Pika—niech się przejrzy w ich zwier-

ciadle. „Uznanie“ tó oparł sądzący aeropag na swoim przekonaniu, gdyż treści rozmów poufnych pomiędzy kolegami Szeptyckim i Beselerem nie zna i znać nie może. Ale każdemu wolno jest mieć własne i odmienne uznanie, na podstawie faktów, dla sądzących generałów nieważnych, gdyż sami wówczas obcym służyli bogom i w obcych przebywali stronach.

Szeptycki w przeddzień aresztowania Piłsudskiego konferował w cztery oczy z Beselerem. Konferował w chwili dla Niemców niezmiernie gorącej, gdyż lękali się, bardziej niż to się wielu zapatrzonym wówczas w potęgę niemiecką wydaje, efektu aresztowania Piłsudskiego, do czego się przygotowywali. Szeptycki, idąc na konferencję z Beselerem, wiedział doskonale, że dnia poprzedniego Niemcy aresztowali i osadzili w Cytadeli około 20 tu wybitnych współpracowników i wielu bliskich przyjaciół Piłsudskiego, i znał stan umysłów stolicy wzburzonej tą prowokacją. To kłamstwo, aby w tych warunkach generał-gub. austriacki rozmawiał ze swoim kolegą niemieckim o hodowli kwiatów; to nieprawdopodobne, aby jako Polak i przedstawiciel sprzymierzonego z Niemcami państwa nie zainteresował się, co oznaczają te aresztowania, i to jest fałsz, ażeby Beseler sam nie poinformował go o kursie swojej polityki, której centralnym punktem zainteresowania był wówczas właśnie Piłsudski i jego przyjaciele — w dniu sławnej konferencji już uwięzieni. Po to przecież Szeptyckiego zaprosił Beseler do Warszawy.

Ale jakąż wymowę mogą mieć te w oczy bijące fakty dla sądzących winowajców, okadzających się nawzajem wonnościami pochlebstw dla zabicia błakających się po sali ich narad resztek zapachu dziegciu, pomieszanego z zapachem trupim. Kto tam dopuści do głosu, fakty? kto pozwoli przemówić prawdzie? kto wysłucha głosu sumienia narodowego? kto pomyśli, że dla szczęścia Przyszłości nie wolno zamazywać grzechów Przeszłości?

Chyba tylko czas zdoła uciszyć te głosy z za grobu i strząsnąć z pnia Rzeczypospolitej to obrzydliwe robactwo, które go obsiadło i zżera nowe tryskające zeń świeżą zielenią pędy — jeżeli będziemy mieli dość czasu spokojnie tego szczęścia czekać.

W. Stępczyński.

Organizacja naczelných władz wojskowych we Francji i u nas.

Wojna wszechświatowa wykazała, iż armja jakkolwiek przypadło jej w udziale najważniejsze zadanie, nie była jednak wyłącznym czynnikiem zapewnienia obrony państwa, i że wszystkie dziedziny życia państwowego powinny nie tylko

podczas wojny ale i w przygotowaniach wydatnie współdziałać.

Realizacją powyższej tezy jest ustroj naczelnych władz wojskowych wraz z aparatem pracy, stanowiący jeden wielki pas transmisyjny ogarniający poszczególne koła maszyny państwowej.

Dla tego też wniesiony obecnie do łaski marszałkowskiej projekt ustawy o naczelnych władzach wojskowych, daleko wybiega po za ramy ustawy natury czysto wojskowej. Projekt ten, jak fama głosi, oparty jest na wzorach francuskich, przewiduje te same hierarchiczne szczeble i identyczne uprawnienia we wzajemnym ustosunkowaniu się poszczególnych czynników.

W ustroju naczelnych władz wojskowych najważniejszą kwestją jest wzajemne ustosunkowanie ministra spraw wojsk., generalnego inspektora wojsk i szefa sztabu generalnego.

We Fracji kwestja ta jest o wiele łatwiejsza do rozwiązania, gdyż tam generał (jak obecnie gen. Nollet) wyjątkowo i tylko przejściowo jest ministrem wojny — z reguły bowiem jest nim osoba cywilna. U nas natomiast naodwrot, jakkolwiek konstytucja nie zastrzega że ministrem spraw wojsk. ma być generał, to jednak dotychczasowy stan faktyczny wytworzył precedens z którym się trzeba liczyć. Z tego powodu trudniejszy jest u nas do ułożenia stosunek generalnego inspektora wojsk do ministra spraw wojskowych.

We Francji, gdy ministrem jest osoba cywilna, najwyższym czynnikiem fachowo-wojskowym jest generalny inspektor, który ma istotnie wielki autoryt.

U nas, gdy ministrem jest osoba wojskowa muszą na tym tle zachodzić kolizje, zwłaszcza jeżeli się weźmie pod uwagę art. 46 konstytucji. Artykuł ten głosi, iż „minister spraw wojskowych jest odpowiedzialny za akty związane z dowództwem w czasie wojny“. Tu dopiero gromadzą się trudności niedoprzeciężenia. Minister spraw wojskowych — generał, ponoszący odpowiedzialność za akty związane z dowództwem podczas wojny będzie chciał mieć decydujący wpływ nie tylko na przygotowanie ogólne ale i operacyjne. Stąd zrozumiałem się staje w projekcie ustawy zupełne podporządkowanie generalnego inspektora ministrowi spraw wojskowych.

Na tle różnic zachodzących pomiędzy stosunkami francuskimi a naszymi uwypukla się również stanowisko i uzależnienie szefa sztabu generalnego. We francuskim dekrete o naczelnych władzach wojskowych szef sztabu generalnego, jakkolwiek podporządkowany (*subordonné*) ministrowi wojny, to jednak w ustosunkowaniu do generalnego inspektora jest powiedziane, iż jest mu przydany (*adjoînt*) dla kierownictwa sztabem generalnym i znajduje się pod zwierzchnią władzą (*haute autorité*) generalnego inspektora który nim dysponuje (*dispose*).

Pomimo tych wszystkich niuansowych określeń na jakie zdobyć się może język francuski — ustrój naczelnych władz wojskowych we Francji nie jest jeszcze ostatnim wyrazem doskonałości, dowodem czego, iż jest oparty na dekretach, które wciąż są uzupełniane i nie zanosi się na rychłe przeprowadzenie ich na drodze ustawodawczej. Dowodem, że nawet we Francji odczuwa się cały szereg braków, są charakterystyczne słowa zmarłego szefa sztabu generalnego gen. Buat'a, który na zapytanie generalnego inspektora marszałka Petain'a, czy dobra jest francuska organizacja naczelnych władz wojskowych odpowiedział: „dobra, gdyż my obaj zgadzamy się ze sobą”.

Najważniejsza jednak różnica między naszym projektem ustawy o naczelnych władzach, wniesionym do sejmu, a jego rzekomym pierwowzorem francuskim spoczywa w aparacie pracy. Projekt ustawy przewiduje Radę Obrony Państwa, natomiast nie daje żadnych wytycznych na których ma być oparty aparat pracy tej instytucji. Tu warto byłoby sięgnąć do francuskich wzorów, albowiem w tym aparacie i w jego konstrukcji organizacyjnej tkwi cała supremacja nad przygotowaniem wojennymi generalnego inspektora, czyli przyszłego naczelnego wodza.

Organami francuskiej Rady Obrony Państwa są:

- 1) Komisja badań (*Comision d'Etudes*).
- 2) Sekretarjat generalny (*Secretariat General*).

Wszystkie sprawy wchodzące pod obrady Rady Obrony Państwa studjuje uprzednio i opracowuje komisja badań. W skład jej komisji wchodzi: wyżsi urzędnicy, jako przedstawiciele poszczególnych ministerstw i szef Sztabu Generalnego, jako przedstawiciel wojskowości. W tej komisji jest on przedstawicielem generalnego inspektora, albowiem wszystkie prace są prowadzone pod kątem wymagań planów operacyjnych. Pracami zaś przygotowawczymi, które mają wejść pod obrady komisji badań, a następnie pod obrady Rady Obrony Państwa, kieruje sekretarjat generalny.

Na czele zaś sekretarjatu stoi generał, który jest organem generalnego inspektora. Przy pomocy dodanych mu oficerów Sztabu Generalnego i urzędników poszczególnych ministerstw przygotowuje on wszystkie projekty do decyzji komisji badań, uzgadniając je uprzednio z zainteresowanymi czynnikami. To też komisja badań złożona z wysokich dygnitarzy poszczególnych ministerstw, mając aprobaty swoich kolegów ministerjalnych, ogranicza się przeważnie do akceptowania przedłożonych jej projektów.

Tą drogą generalny inspektor we Francji, jakkolwiek w Radzie Obrony Państwa ma tylko głos doradczy, faktycznie kieruje wszystkimi jej pracami i wszystkie decyzje wychodzące z tej najwyższej instytucji do poszczególnych ministerstw, nie wyłączając ministerstwa wojny, są dezyderatami generalnego inspektora, usankcjonowanymi aprobatą Rady Obrony Państwa.

Jak widać z powyższego w organizacji francuskiej wpływ przysłego naczelnego wodza na całokształt przygotowań wojennych jest olbrzymi — w sprawach wojskowych, operacyjnych i technicznych jest on de facto ostateczną instancją, gdyż minister, jakkolwiek odpowiedzialny konstytucyjnie, może w tych sprawach decydować jedynie formalnie.

U nas warunki są zupełnie inne, ponieważ ministrem spraw wojskowych był i prawdopodobnie będzie generał. Z natury rzeczy będzie on nie tylko formalnie, ale i rzeczywiście najwyższym przełożonym dla wojska, i za takiego wojsko będzie go uważało. Generalny zaś inspektor nie będzie się mógł ustosunkować do ministra-generała jak we Francji do ministra cywilnego. Minister-generał technicznego doradcy nie potrzebuje, mając formalne zwierzchnictwo będzie chciał sprawować je w rzeczywistości. Generalny inspektor nie będzie miał również ingerencji w stosunku do szefa Sztabu Generalnego, ponieważ ten ostatni będzie się musiał liczyć z ministrem nie tylko jak z przełożonym, ale jako z najwyższym zwierzchnikiem wojskowym.

Dla tego też w naszych warunkach mogą być tylko dwa sposoby rozwiązania dylematu organizacji naczelnych władz wojskowych: albo ministrem spraw wojskowych będzie osoba cywilna — wtedy możemy się oprzeć na wzorach francuskich; albo urzędy generalnego inspektora i szefa Sztabu Generalnego zostaną połączone w jednych i tych samych rękach.

Ta ostatnia alternatywa, przy okolicznościach gdy ministrem jest generał, staje się koniecznością, ponieważ życie wojska i przygotowania do wojny muszą być oparte na ciągłości pracy, a folel ministra spraw wojskowych, jakkolwiek przeznaczony dla wojskowego, będzie zawsze uzależniony od zmiennej sytuacji politycznej.

Rok 1920.

II.

Wszystkie podręczniki wojskowe uczą, że jedynie natarcie daje zwycięstwo. Powtarza to każdy elew szkoły podoficerskiej. Ale jakżeż trudno w praktyce stosować tę teorię. Wódz za ledwie częściowe pojęcie o nieprzyjacielu mieć może. Stoi wobec niego jak ów rybak, co „ledwie u brzegów nawiedza dno morza“, jak ów myśliwy, co:

„...krąży koło puszczy litewskich łoża.
zna je ledwie po wierzchu ich postać, ich lice
lecz obce mu ich wnętrza, serca tajemnice“.

W tę tajemnicę trzeba uderzyć, aby ją poznać. A może zaczekać? A może coś jeszcze przygotować? Jeżeli wojna jest sztuką, to chyba tem się różni od innych, że zawsze po-

zostać musi improwizacją, w której poznaje się swój błąd lub krok słuszny już wtedy, gdy kości są rzucone.

Dla tego właśnie na sposób prowadzenia wojny może więcej niż na co innego wpływa psychika narodu, psychika środowiska. Wpływy te są tak mocne, że odbijają się nawet na teorii — nieraz z regulaminu poprostu wyczytać można, czy dany naród w ostatnich czasach zwyciężał, czy przegrywał? Czy ma absolutną pewność, że zwycięży w przyszłości, czy nie?

Weźmy na przykład regulaminy przedwojenne: niemiecki i francuski. Na pytanie: co robić, jeśli oddział patrolujący zostanie w pewnej chwili ostrzelany? regulamin niemiecki odpowiadał: uderzyć całą rozporządzalną siłą w stronę strażów celem rozpoznania sytuacji i opanowania jej jednym zamachem. Francuski zalecał zachować gros sił w odwodzie i przeprowadzić rozpoznanie drobną ich częścią. Wojna 1870 — 71 roku stroną przegrywającą nauczyła ostrożności, wygrywającą — stanowczego działania zawsze.

W czasie wojny światowej Niemcy, gdy jednym zamachem nie zdołali zgnieść przeciwnika, stracili tę stanowczość. Wodzowie stron obu zostali przerażeni masami, które wyprowadzili w pole, i ogromem środków uruchomionych.

Jak to postawić na jedną kartę?

Czy ten psychologiczny moment nie wpłynął na to, że wojna wyrodziła się w walkę okopową, w której więcej chodziło o to, by stworzyć zaporę dla ruchu wroga, niż by zdobyć sobie ruch swobodę? Że powstała cała nauka tej wojny? — Tak! odpowiada między wierszami Piłsudski.

Poruszamy to zagadnienie, bo ten niewielki stosunkowo ustęp, w którym pisze Naczelny Wódz Polski o okopie, choć w kompozycji dzieła ma epizodyczne znaczenie, jest punktem wyjścia dla oceny ludzi i kampanji, o którą chodziło.

„Wtedy, gdy ja, jako naczelny Wódz — pisze Piłsudski — wyrzekłem się od razu próby prowadzenia wojny okopowej... spotykałem zawsze zarówno u swoich podwładnych, jak i w społeczeństwie hołdowanie zasadzie: *faites une ligne forte*. Okop zaś u nas właśnie mógł być bardzo chudym i bardzo mizernym. Nie mógł być żywiony, by nabrać potrzebnej strategicznej tuszy, ani przez przemyśl, którego nie było, ani przez wysiłek ludzi dla dostatecznego zaludnienia okopu... Okop jednak niechętnie ustępował ze swego tronu. Mścił się, szukał rewanzu, pozostawiając na swoim miejscu nieodłączną swą siostrzycę — linię, kłócącą się w stałej sprzeczności z wprowadzonymi przezemnie ruchem i manewrem. Mścił się — zostawiał naokoło mnie i specjalnie za plecami wrzuszanie ramion, niezadowolone szeptu i ciche bolesne skargi na przestarzałe, dziecinno-romantyczne pomysły strategiczne naczelnego wodza“.

Trzeba uważnie, bardzo uważnie przeczytać ten ustęp. Boć oto stanęły naprzeciw siebie dwa obozy, dwa światopo-

glądy. Jeden z nich żył od lat dziesiątków wiarą, że Polska być musi. Istnienie wolnej i niepodległej ojczyzny, a więc i jej zwycięstwo było dlań axiomatem. Piłsudski, tego obozu wyraziciel, rozumuje jasno: stoimy w ogniu walki; wobec ubóstwa środków technicznych możemy prowadzić jedynie walkę ruchem, manewrem. Więc tę metodę trzeba zastosować — i stosuje.

Drugi obóz — to „fachowcy”. Cała atoli ich wiedza wojkowa z doświadczenia wojny okopowej płynąca przystoiła im elementarną zasadę taktyki i strategii, o której mówiliśmy na początku. Oni otrzymali Polskę za darmo, wedle słów swego politycznego przedstawiciela i chcieli(*by*) zrobić *wszystko* aby tę Polskę *obronić*. Co będzie, to będzie, ale oni w każdym razie nie mogli obciążyć sumienia ryzykiem. *Faites une ligne forte!* co się da to się robi, a co nie — to trudno.

Tak jak przegrana 70-go roku wdarła się do regulaminu francuskiego, tak brak wiary w Polskę, brak odczucia jej sił regeneracyjnych, działających z mocą nieodpartego fatum, nie tylko osłabił wolę, nie tylko wypaczył kierunek działania, ale zmącił rozumy, samą teorię wojny wykoszławił, zniekształcił, pozabawił myśli logicznej w głowach tych wysokich generałów, co tyle orderów zaborczych potencji na piersiach nosili, tyle rozumnych książek nieraz napisali, tyle doświadczenia nawet bojowego zdobyli, a nawet i osobistego męstwa wykazali.

I tu leży cała olbrzymia doniosłość społeczno-narodowa książki Piłsudskiego.

„Dziecinny romantyzm” nowej Polski zwyciężył. Zgrzybiała fachowość padła. Wojska pod dowództwem generałów, Szeptyckiego, Majewskiego, Żygadłowicza i jak tam oni wszyscy się zwą — cofały się, ulegały dezorganizacji — niszczały. Pod dowództwem obecnego Marszałka Polski zwyciężały. Armie i dywizje „dyletantów”, jak gen. Sosnkowski, gen. Sikorski, gen. Rydz Smigły choć i ustępowały — szły zawsze w ordynku. Gdy nacierały — były taranem.

Wojna, jak słusznie mówi Marszałek Piłsudski, jest bajecznym skrótem życia. Skupia ona wszystkie jego pierwiastki. Uogólnienia wysnute z naszej wojny z przedziwną dokładnością sprawdzają się w całym życiu narodu. Gdy tylko dochodzą do władzy ci, którzy ojczyznę za darmo dostali — przegrywamy. Którędy tylko sięgną ich wpływy — tam klęska. Ich to ludzie niszczyli nasz skarb, psuli dyplomację, druzgotali nasze stosunki na kresach, anarchję szczepili w społeczeństwie. Ich najważniejsi ludzie zawsze i wszędzie wykazywali przeraźliwą nieudolność, małoduszność i brak ambicji, gdy o nasze interesy chodziło. Hardzi na wewnątrz umieli przedziwnie zwiijać się w kłębek, giąć w ukłonach, gdy tylko z obcymi się zetknęli.

Książka Piłsudskiego ukazuje ich skrót wojenny. I dlatego jej duch, jej sposób ujęcia rzeczy, jej niesłuchanie pla-

styczna akcja — wykracza daleko po za ramy fachowego studjum. Nabrzmiała jest ona wielką treścią polityczną — cała jest wielkim ostrzeżeniem.

Mający uszy — niech słyszą.

A. Uziembło.

Doniosłe uchwały demokracji białoruskiej.

Przedstawiciele demokratycznych partji białoruskich: inteligencji i organizacji włościańskich na konferencji odbytej w Wilnie w dniu 21 września b. r. dokonali wyborów Tymczasowej Rady Białoruskiej.

Zakres i program prac Rady określa szereg następujących, przyjętych przez konferencję, uchwał:

Biorąc pod uwagę,

1) że obecna sytuacja na Białorusi Zachodniej stawia Państwo Polskie i naród Białoruski w obliczu groźnego niebezpieczeństwa, idącego ze wschodu w postaci nieokiełznanego bandytyzmu, niebezpiecznej antypaństwowej agitacji i możliwości nastąpienia nieoczekiwanych kataklizmów;

2) że sytuacja ta została wywołana przez błędny kierunek i taktykę Białoruskiego Klubu Poselskiego z jednej strony, oraz brakiem u rządu i społeczeństwa polskiego wyraźnego programu politycznego w sprawie białoruskiej — z drugiej strony;

3) że taktyka parlamentarna postów białoruskich nie jest zgodna z ideałami narodowymi i interesami życiowymi ludności białoruskiej, która w pierwszym rzędzie musi zaleczyć rany, zadane jej przez wojny i szuka spokojnej pracy na niwie ojczystej w warunkach zagwarantowanych jej przez konstytucję;

4) że ustawy o mniejszościach, chociaż nie obejmują wszystkich prawnych żądań narodu b.-ruskiego, są jednak pierwszym krokiem naprzód na drodze odrodzenia b.-ruskiego;

5) że rychłe wprowadzenie w życie tych ustaw stanie się faktem wagi historycznej i może się stać fundamentem, na którym zbudować można naszą przyszłość narodową;

6) że w chwili obecnej, w związku z ustawami dojrzała potrzeba stworzenia takiej b.-ruskiej organizacji politycznej, która objęłaby wszystkie elementy demokratyczne w celu realizacji wspomnianych wyżej dążeń narodowych.

Konferencja przedstawicieli partji demokratycznych, organizacji włościańskich i inteligencji, postanawia:

1) Stworzyć Tymczasową Radę Białoruską, której będzie powierzone kierownictwo wszystkich spraw białoruskiego życia narodowego do czasu zwołania zjazdu Białorusi Zachodniej, który obierze stałe przedstawicielstwo polityczno narodowe;

2) polecić Tymcz. Radzie Białoruskiej wejście w kontakt z odpowiednimi przedstawicielami władzy oraz polskich organizacji społecznych i politycznych, celem najszybszego wprowadzenia w życie tych artykułów konstytucji, które gwarantują narodowi białoruskiemu jego prawa narodowe, jak również ustaw językowych, reformy rolnej i samorządu, zaprzestania systemu osadniczego i wogóle uzdrowienia stosunków w kraju.

Udział państwa w przemyśle wojennym.

W swoim czasie poruszyliśmy na przykładzie wielce doniosłe zagadnienie protekcjonizmu państwowego w przemyśle, a zwłaszcza wojennym. Wykazaliśmy przy tej okazji, że zbyt

daleko idąca opieka zainteresowanych ministrów nad interesami producentów, mija się zasadniczo z celem tej polityki, gdyż, jak uczy praktyka, nie przyspiesza powstania odnośnego przemysłu, wybijając jednocześnie w dnie skarbcza państwowego potężną dziurę, przez którą szeroką strugą najzupełniej nieprodukcyjnie wyciekają wątle dochody skarbowe.

Człowiek od dziecka stale wożony na wózku nigdy nie nauczy się chodzić o własnych siłach. Przemysł demoralizowany wieczną opieką i darowiznami grosza publicznego nigdy nie zdobędzie sobie realnego gruntu egzystencji. Przykładów nie trzeba szukać daleko. Paroletni okres inflacji marki stworzył dla przemysłu uprzywilejowane warunki egzystencji. Wzięte ze skarbu pieniądze zwracano w tej samej co prawda ilości, lecz potężnie zmniejszonej wartości. Różnica pozostawała w kieszeni przedsiębiorcy, dla którego w ten sposób zyski z gry inflacyjnej były ważniejsze od pracy własnego warsztatu przemysłowego. To też dzisiaj, gdy sytuacja finansowa uległa zmianie i warunki życia zbliżyły się znacznie do normalnych, cały nasz przemysł okazuje się niezdolnym do życia.

I nie trzeba się łudzić jakoby jedynie brak taniego kredytu był sprawcą obecnego kryzysu. Najtańszy i najobfitszy kredyt nie zastąpi nowoczesnych maszyn, ekonomicznej organizacji pracy ludzkiej, potrzeby reorganizacji nazbyt kosztownej administracji i wreszcie nie zmieni psychiki fabrykanta, przyzwyczajonego do dużych i łatwych zarobków.

Po dobrodziejstwach inflacji, przyszedł dla naszego przemysłu czas na jej cierpkie owoce.

W tej chwili wszędzie przedmiotem naszego zainteresowania jest budżet państwowy, na którego stronie rozchodowej polityka protekcyjna pozostawiła swój realny ślad, w postaci poważnych pozycji deficytowych.

Lecz nie tylko polityka protekcyjna.

Jeśliśmy poddali ściślemu badaniu źródła paroletnich deficytów budżetowych, po odrzuceniu oczywiście wydatków związanych z wojną, moglibyśmy z łatwością stwierdzić, że państwo płaci olbrzymie sumy rocznie za prawo tytułowania się przedsiębiorcą. Jednym słowem — zakłady przemysłowe i przedsiębiorstwa stanowiące własność państwa i przez nie administrowane dają systematycznie poważne deficyty.

Co to znaczy?

Czy państwo jest złym gospodarzem? czy rodzaj przedsiębiorstw pozostających w jego rękach jest tego rodzaju, że gospodarowanie nimi bez strat jest niemożliwe?

Niestety wina leży nie w charakterze przedsiębiorstw, a w wadliwości administracji. Pospieszmy wszelako dodać, że nie jest to wada specyficznie polska — mymy tu do czynienia ze zjawiskiem powszechnie na świecie notowanym.

W ustroju kapitalistycznym — jak uczy praktyka — państwo nie może z dobrym skutkiem stawać do konkurencji z inicjatywą prywatną. Zbyt ciężkim jest administratorem; zbyt wiele etapów i dróg ciernistych skomplikowanej formalistycznej biurokratycznej musi przejść każda inicjatywa i myśl twórcza, aby państwo mogło pociągnąć do swoich przedsiębiorstw jednostki wybitniejsze, znajdujące łatwe pole do popisu w analogicznych przedsiębiorstwach prywatnych; zbyt silne jest ciśnienie na aparat państwowy wpływów partyjnych i zbyt wielka łatwość przeniknięcia doń zarazy nepotyzmu i korupcji — aby, jak zaznaczyliśmy, w ustroju kapitalistycznym, państwo mogło osiągnąć jakikolwiek bądź pożytek z dźwignania ciężaru administrowania zakładami przemysłowymi.

Stara to prawda, wielokrotnie potwierdzona przez doświadczenie wszystkich omal państw. Znalazła ona również wyraz w opinii rzeczoznawcy angielskiego w Polsce, komandora Hiltona Younga i polityce p. Wł. Grabskiego.

Jeżeli tedy administrowanie gotowym warsztatem przemysłowym okazuje się dla państwa zadaniem niewdzięcznym, to sytuacja ta ulega znacznemu pogorszeniu na niekorzyść budżetu, gdy państwo przystępuje do budowania z własnych środków nowych przemysłowych zakładów, bez różnicy: dla własnych lub publicznych potrzeb. Przejście w tym rozumowaniu z płaszczyzny abstrakcyjnej na nasz polski grunt sprawę zaostrza.

Bo czyż jest możliwe, aby państwo, które walczy z ciężką chorobą skarbu; które nie ma pieniędzy na oświatę, dostatnie zaopatrzenie swych pracowników, na rozwinięcie akcji odbudowy spalonych i zniszczonych przez wojnę całych połaci kraju; które z powodu braku środków pieniężnych nie może uregulować anormalnych stosunków rolnych w duchu od czterech lat przez sejm uchwalonej reformy — czy państwo takie może i czy powinno jednocześnie znaleźć środki na wyręczenie kapitału prywatnego w budowie nowych działów ciężkiego przemysłu, jak to ma miejsce u nas?

Możemy usłyszeć na to pytanie odpowiedź: prawda, jest to dla państwa zadanie niezmiernie ciężkie, ale przecież buduje ono jedynie przemysł wojenny, którego nie posiadamy, a bez którego obrona naszych granic jest marzeniem roman tyków.

Oczywiście przemysł wojenny, dopóki powszechne rozbrojenie nie stanie się faktem dokonany, jest państwu, szczególnie w naszym położeniu geograficznym się znajdującemu, niezbędny.

Posiadają go zresztą wszystkie państwa, ale też wszędzie na świecie poza Rosją Sowiecką, która zniszczyła swój przemysł, prowadzony on jest na odpowiedzialność i za pieniądze prywatne, jedynie pod kontrolą państwa. We Francji, Anglii,

Włoszech, Niemczech i t. d. produkcja uzbrojenia oddana jest całkowicie w ręce prywatne, a przecież w czasie wojny armje tych państw były znakomicie zaopatrzone w środki walki. Czyż można przypuścić, że państwa te nie pokusiłyby się o zmonopolizowanie w swoich rękach świetnie zorganizowanego tego działu przemysłu, gdyby to przedstawiało dla nich jakikolwiek interes?

Nasza polityka pod tym względem jest niezmiernie chaotyczna i trudno jest odnaleźć w niej jakąś myśl przewodnią. Z jednej strony państwo idzie po linii oparcia przemysłu wojennego na inicjatywie prywatnej, z drugiej chce być samo inicjatorem i budowniczym. W rezultacie inicjatywa i kapitały prywatne nie są należycie wykorzystane, a realizacja przedsięwzięć państwowych idzie po ciężkiej grudzie i nie wróży pomyślnych rezultatów.

Obok szeregu fabryk prywatnych, produkujących względnie przystępujących do produkcji sprzętu wojennego i amunicji, istnieje państwowa organizacja tej samej dziedziny przemysłu t. zw. Centralny Zarząd Wytwórni Wojskowych, instytucja, o której szersza opinja nie wie nawet tyle, że istnieje, a która ze wszech miar godna jest bliższej uwagi, jako potwierdzenie powyżej wypowiedzianych uwag.

O niej też pomówimy w najbliższym numerze.

Kiedyż nareszcie skończy się ta anarchja?

Poniedziałkowa *Polska Zbrojna* pod patetycznym tytułem „Gen. Sosnkowski delegatem rządu w Lidze Narodów“ donosi: „Minister Spraw Wojskowych — jak się dowiadujemy — zaproponuje rządowi, ażeby delegatem rządu na konferencję rozbrojeniową wyznaczyć byłego ministra spraw wojskowych gen. dyw. Sosnkowskiego“.

A więc gen. Sosnkowski jeszcze nie jest delegatem rządu w Lidze Narodów bo go dopiero „zaproponuje“... ..minister spraw wojskowych. Tymczasem, zanim zaproponuje, zdążył się tem, wsiadając do expressu paryskiego, pochwalić i co więcej, jak objaśnia *Polska Zbrojna*, „ze względu na potrzebę podjęcia prac przygotowawczych gen. Sosnkowski, bawiący na zdrowotnym urlopie za granicą, został o powyższem powiadomiony“. Ponieważ p. minister spraw wojskowych „zaproponuje“ kandydata na przedstawiciela Polski w Lidze, to już niema o czem gadać — niech się przygotowuje, melduje w sekretarjacie Ligi, studjuje akta, szyje frak, anonsuje, interwjuje ...bo będzie „zaproponowany“. Minister spraw zagranicznych, prezes gabinetu i Prezydent Rzeczypospolitej nie mają tu już nic do powiedzenia, bo pępek Polski z Placu Saskiego przez pałac Namieśnikowski powędrował pod Blachę, skąd samochodem ciężarowym uroczyście przetransportowany został do nowego sanctuarium przy ul. Nowowiejskiej.

Nie badajmy dlaczego p. ministrowi spraw wszelakich, boć nam i wojewodów napromował, zależy na wystaniu gen. Sosnkowskiego możliwie najdalej od Warszawy (ponoć od dawna już Hiszpanję sobie dlań upatrzył) i czy gen. Sosnkowski jest właściwym kandydatem na delegata w Lidze (zdaje się że tak), ale gdzież tu jest na miłosierdzie boskie jakaś praworządność, jakiś ład i porządek w tym państwie? Minister spraw wojsko-

wych rozwodzi się z trybuny sejmowej o sprawach narodowościowych, minister spraw wojskowych wyznacza wojewodów, minister spraw wojskowych troszczy się dość arbitralnie o obsadę stanowisk w służbie dyplomatycznej — i nic też dziwnego że funkcje ministra spraw wojskowych sprawuje często gęsto znakomity profesor dentystyki gen. Zwierzchowski.

Kiedyż nareszcie skończy się ta anarchja?...

W. S.

Zwrot ku ideałom w sztuce.

Daleko od środka Warszawy, od zgrzytu tramwajów i rozgwaru zawodowych przechodniów, zdala od wystaw, pokazów i targów dzieł sztuki, skrzętnie stosowanej do wymagań rozkrzyczanego „dział“, daleko od zapomnianej już prawie Zachęty, wystawiła swe prace gromadka malarzy, którą można nazwać grupą Śleńdzińskiego, zaprosiwszy do kompanji przedstawiciele rzeźby i architektury.

W zimnej, za wysokiej sali dawnej szkoły podchorążych, złe oświetlonej małemi okienkami, panuje duch najpiękniejszych, najszlachetniejszych tradycji europejskich, dostojny duch renesansu. Znamienny szacunek dla nieśmiertelnych dzieł Balliniego, wielkiego Leonarda i Michała Anioła jest sam w sobie objawem rzadkim i niezwykłym dzisiaj, kiedy w sztuce współczesnej — rozhisteryzowanej swą jałowością, jak stara panna, która nigdy nie będąc kobietą, już nią być przestaje — obowiązuje nakaz braku poszanowania dla tradycji zwłaszcza własnej, z dopuszczeniem pewnego czasem nawet przesadnego respektu dla artystycznej twórczości Azji, czy Afryki, a nadewszystko dla sztuki negrów z Małej Zelandji lub z Ziemi Ognistej, z którą rywalizować nie trudno, a jeszcze łatwiej ją naśladować.

Tu niema naśladownictwa. Jest podziw i szacunek, chęć zrozumienia i opanowania mistrzowskiej techniki, wysiłek niełatwy, by w zimnej napozór i treściwej formie zawrzeć swej własnej wrażliwości żywość i bogactwo, i niecierpliwść współczesnego człowieka ująć w karby doskonałej dyscypliny, jest usiłowanie rozszerzenia tradycji dorobkiem późniejszych pokoleń oraz owocami własnych poszukiwań i odkryć, jest obok wszystkiego, a raczej przedewszystkiem praca i jest ukochanie.

Praca i miłość. Bez ich uczestnictwa nie powstało nigdy prawdziwe dzieło sztuki. Bo zdolność i talent są li tylko narzędziami.

Praca i miłość. Praca — to znaczy twórczość niestrudzonych, zapobiegliwych, niezmordowanych rąk, pod kierunkiem patrzących i widzących oczu, twórczości mózgu, szukającego zawsze a niezaspokojonego nigdy, i miłość — twórczość oddanego, gorącego zachwyconego serca.

„Piękno kształtem jest miłości“ powiedział Norwid — „Piękno jest formą, w którą miłość przystraja rzeczy“, powtórzył za nim niedoceniony i zapomniany Ernest Hello. My

twierdzimy, że miłość oślepia. Nieprawda. Oślepia namiętność. Ślepotą jest także obojętność. Miłość wzmagą stokrotnie zdolność widzenia, do mocy jasnowidzenia ją niekiedy potęgując, daje oczom naszym, ślizgającym po powierzchni rzeczy, możliwość przenikania w ich głąb; pozwala widzieć piękno poprzez wszystkie zasłony i odkrywać je tam nawet, gdzie ono jest ukryte, zatajone, niewidoczne.

Każdy człowiek, który kocha, widzi i odkrywa piękno, artystą staje się, gdy ma zdolności, mistrzem, gdy oprócz talentu do malarstwa czy rzeźby, ma nadto jeszcze talent do pracy. Wszystko to są prawdy tak stare, że przed dwudziestu mniej więcej laty, na skutek decyzji ludzi, polegających na swoim rozumie i cudzej głupocie, postanowiono wykluczyć ją z dziedziny sztuki. I od tego czasu artyści dowcipni często, inteligentni czasem, a niekiedy nawet mądrzy (nigdy jednak do tego stopnia by wiedzieć, że w sztuce naiwne, gorące serce bije zawsze na głowę zimną mądrość) wymyślają nowe formy, kreślą wyrozumowane konstrukcje, przekonani lub przynajmniej udający przekonanie, że tworzą nowe, oryginalne wartości. Pożałowania godni biedacy, jeśli rościli sobie i roszczą pretensje do tworzenia sztuki stosowaniem „cyrkla wagi, miary“ i inteligencji. Pozorną jest ich oryginalność i sztuczność ich sztuka. Forma jest wykładnikiem stosunku artysty do życia. Jeśli stosunek ten jest niezmieniony, nie osobisty, nie oryginalny, praca nad stworzeniem nowej sztuki przez rozbijanie formy i mniej lub więcej pomysłowe na jej temat kombinacje jest pracą od końca, od zewnątrz, jest pracą jałową. W najlepszym razie można w ten sposób dawać elementy, które kiedyś sztuka wykorzysta.

Zapowiedź tego widać już w pracach wileńczyków, a przede wszystkim u Śleńdzińskiego. W jego portretach i w kapitałnych sangwinowych kartonach dekoracyjnych znajdują zastosowanie także i odkrycia kubistyczne. W poszukiwaniu efektu dekoracyjnego portrety swoje maluje Śleńdziński na złocie i srebrze, co go zmusza do bardzo starannego, bardzo skupionego i trzeźwego opracowania formy wobec rozpuszczającego ją niejako działania lśniącego i przejrzystego tła. Porając się z tą trudnością zwyczajnie, osiąga zwartą, jędrną i nieskazitelną całość, jak np. w portrecie pani Pileckiej. Śleńdziński nie lęka się trudności. Przeciwnie, wyraźnie ich poszukuje. Ale szuka zarazem nowych sposobów do ich pokonania. Przeto z kolizji, w jaką wprowadza nieraz artystę, mus równoczesnego rozplątania problemów formy i koloru, aby mózgi swobodniej zajmować się kolorem, stara się wyjść w ten sposób, że próbuje zaznaczać pewne zasadnicze formy przez wymodelowanie ich na desce, uzyskując przez to efekty zupełnie niezwykle. W ten sposób traktowany portret panny N. należy do najciekawszych i może najlepszych jego prac. Poza to we wszystkich jego

obrazach widać sranność niezwykłą, rozmiłowanie w kunście malarskim, jakąś pieściwą poprostu pieczołowitość w traktowaniu szczegółów, złączonych zawsze z całością, rozsmakowanie w wykwintnej harmonji kształtów i barw.

Te same cechy ujawniają prace jego towarzyszy. Kwiatkowski w portrecie pani W. K. (niezawodne nigdy, a w tym wypadku doskonale zestawienie czerni, złota i czerwieni) i w „Dziewczynie w berecie“, pracy wysokiej już klasy, daje dowody, że dojrzewa szybko i pewnie. Toż samo Hoppen, którego portret pani w zielonej sukni dowodzi, że jego twórcy nie brak ni talentu, ni powagi. Śladami ich idą sumiennie Pilecki i pani Borzobohata Woźnicka, najmłodszy z grupy.

Wileńczycy stanowią zwartą grupę. Po za wiodoczną wspólnością w oparciu się na świetnych wzorach przeszłości, połączonem z pozbawionym doktrynerstwa ekletyzmem, łączy ich powaga, szczerłość i uczciwość pracy, świadomość długości drogi i nieuchwytniej odległości celu, która sprawia, że szukają ciągle, a nie krzyczą nigdy — „Znaleźliśmy!“ — łączy ich poczucie służby. Ludzie ci służą i chcą służyć sztuce, w całym zaparciam się siebie, z miłością i oddaniem. Zrozumieli oni, może bez rozumowania, co jest niekiedy najlepszym sposobem istotnego pojęcia pewnych prawd, że tylko w oddaniu się całkowitym, tylko w niewolniczej z wewnętrznego musu służbie wielkiej idei, osiąga człowiek swobodę największą i wznosi się na najwyższe sfery twórczości.

Przykazanie służby jest ogólne. Niema odeń wyjątków. Przed półwiekiem, dla wyrwania sztuki sprostytuowanej na usługach mieszczańskich ideałów, pospolitych, płaskich, deprawujących i sobkowskich, zrodziło się hasło „sztuka dla sztuki“. Sztuka sobie jest panią, innych panów nie zna.

Hasło fałszywe i szkodliwe. Ludzie, którzy je głosili mieli sami ubogie dusze, niezdolne do zrozumienia wielkości służby. Hasło to do dziś jeszcze wałęsa się po świecie, jak błędny ogień sprowadza artystów na bezdroża, rozkłada się i wyrodnieje w praktyczniejszą jeszcze zasadę: „Sztuka dla mnie“.

Czas już, żeby ktoś dał hasłu temu stanowczą, ostateczną odprawę i dobił je. Świadczy przeciw niemu przeszłość cała, wielka i przez długie wieki ciągnąca się przeszłość, kiedy sztuka na służbie Boga, wiary, człowieka, czy narodu, wznosiła się tak wysoko, że dzisiaj z zachwytem i podziwem patrząc z dołu na szczyty poddajemy się zwątpieniu w nasze siły i upadamy na duchu.

Komu i czemu służyć nam dzieciom dwudziestego wieku, przed jakimi poklonić się ideałami, po namiętnej i skrupulatnej rzezi ideałów, która trwała przez cały wiek dziewiętnasty; komu serce swe oddać w niewolę, dzisiaj, gdy kościół pozornie służąc Bogu, broni interesów pewnych klas; kiedy zawo-

dowo namiętni patryjoci, stawiając z ostentacją fundamenty oswobodzonej Ojczyzny po cichu budują sobie małe kamieniczki i kiedy rewolucja jakoby w imię sprawiedliwości, wolności i braterstwa poczęta doprowadziła do tryumfu ohydy, cynizmu fałszu, podłości i znikczemnienia. Tak—to prawda.

Ale nie mniej jest Bóg, jest życie, jest ludzkość i jest dla nas Polska, która w latach haniebnego i trującej niewoli jakby zapomniała o swej wielkiej przeszłości, o czasach chwalebnej i zaszczytnej służby i nazbyt skłonną jest do wiary, że będzie mogła żyć hasłem „Polska dla Polski“.

Bolwud.

Powiadają, że...

Powiadają, że gen. broni Żeligowski natychmiast po aresztowaniu ppłka lekarza Zapłatyńskiego złożył żonie jego, z powodu tego „przykre-go“ wypadku kondolencję i uszanowanie.

Ppłk Zapłatyński został osadzony w więzieniu pod zarzutem szantażu i łapownictwa uprawianego systematycznie na stanowisku urzędowym.

Gen. Żeligowski jest prezesem generalnego sądu honorowego, a więc najwyższą instancją wojskową w sprawach dotyczących honoru munduru.

* * *

Ppłk. Zapłatyński siedzi, mimo wysokich protekcji i kondolencji, w więzieniu wojskowym przy ul. Dzikiej.

Natomiast p. komendant tego więzienia, następca ppłka Bielakowskiego, ppłk Kubisztal, jak powiadają, siaduje u pani Zapłatyńskiej.

Prawdopodobnie chadza tam sprawdzić osobiście czy przypadkiem żona więźnia nie ma jakiegoś pośrednika, przez którego mogłaby utrzymywać z nim, surowo przez władze śledcze zakazany, kontakt.

Administracja prosi P. P. Prenumeratorów o uregulowanie należności za kwartał IV-ty.

Treść № 58-go: Głos z za grobu — *W. Stypczyński*. Organizacja naczelnych władz wojskowych we Francji i u nas. Rok 1920 — *A. Uziembło*. Doniesłe uchwały demokracji białoruskiej. Udział państwa w przemyśle wojennym. Kiedyż nareszcie skończy się ta anarchja? — *w. s.*
Zwrot ku ideałom w sztuce — *Bolwud*. Powiadają, że...

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty**, kwartalnie **3 złote**. Zagranicą kwartalnie **5 złotych**.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288**.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stypczyński**.

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA“, Moniuszki 11.